

## Najtrudniejsze pytanie, jakie usłyszałam w życiu

**C**o takiego interesującego jest w postaciach, w które się Pani ostatnio wciela? Maria Calas, Marlena Dietrich...

Jak to co? To były wielkie indywidualności...

– **Chodzi mi o co innego. Cemu interesuje się Pani kobietami w wieku, nazwijmy to eufemistycznie, więcej niż średnim?**

Po pierwsze dlatego, że sama jestem w takim wieku...

– **To znaczy?**

Mam 47 lat.

– **To sporo za mało, by zasłużyć na miano „starszej pani”...**

Wszystko zależy od subiektywnego odczucia. Ja czuję, że to się stanie już za chwilę.

– **Skąd to uczucie?**

Żeby to opisać, użyję metafory motoryzacyjnej. Jak wszyscy stoję na światłach. Potem ruszam, jak wszyscy zmieniam biegi, dodaję gazu. Wydaje się, że robię to w takim samym tempie co inni, a jednak okazuje się, że jestem szybsza.

Mówię o swoim aktorstwie, że składam się z 11-letnich cykli: najpierw przez 11 lat byłam bardzo młoda, potem kolejne 11 lat byłam bardzo dobrze osadzona w zawodzie, a teraz zaczynam 11 lat schyłku... (śmiech).

– **Czy to aby nie nadmierna kobieteria?**

Myślę, że po prostu przeżyłam życie szybciej niż inni. Przydarzyła mi się taka masa rzeczy, że psychicznie jestem gotowa do emerytury... (śmiech).

– **Czuje się Pani zużyta?**

Nie, zupełnie nie. Tylko tę drogę, którą każdy musi przejść – kiedy się coś odkrywa, smakuje, czegoś doświadcza – przeszłam szybciej niż inni. Wydaje mi się, że już mnie nic nieznanego nie czeka. A mimo to czuję się młodo. I co mam z tym zrobić?

– **Właśnie chciałem o to zapytać...**

Ależ nie wiem! Sama szukam odpowiedzi. Jednego dnia mówię: „Koniec, jadę do Włoch, zaczynam malować”, a następnego dnia: „Cholera, zrobię coś znacznie bardziej oryginalnego niż te bufoniaste dupki dookoła”. (Śmiech).

– **A trzeciego dnia?**

A trzeciego budzę się i myślę: „Czy ja zwariowałam, po co mi to? Położę się, poczytam, przecież nie muszę nikomu już nic udowadniać, bo wielokrotnie to zrobiłam”.

– **Ale ten niepokój, ten żar to raczej objaw wścieklej młodości, a nie starości.**

Chyba jeszcze czego innego. To wynika z samotności.

– **Czuje się Pani samotna?**

Zawodowo tak. Nie mam partnerów. Marzy mi się, by ktoś zawiódł mnie w jakąś nową stronę. By stanął przede mną reżyser, dyrektor teatru albo autor i powiedział: „To jest droga, którą teraz pójdziemy”. I ja bym poszła. Nawet w przepaść. Tylko że nikogo takiego nie ma.

Więc, choć biologicznie jeszcze tego we mnie nie ma, mam teraz apetyt na emeryturę.

– **Miewa Pani też inne apetyty?**

O, tak. Nieustannie pojawia mi się apetyt na coś. Jak przygotowywałam spektakl o Marlenie, myślałam: „A może by tak zostać alkoholiczką? Tym jeszcze nie byłam”. To takie przyjemne, long drink od rana... (śmiech).

Mój mąż się śmieje, że raz budzę się jako królowa, a raz jako kobieta lekkich obyczajów... (śmiech). I że poznaje, kim jestem po tym, w jakim ubraniu wychodzę rano na śniadanie... Że po tym wie, jaki będzie dzień.

– **Z czego wynika ta zmienność? Z nieokiełznanego głodu przeżyć?**

Ja po prostu muszę tak żyć...

– **Żeby nie było nudno...**

Żeby nie było nudno...

– **Taki człowiek jak Pani chyba nie ma problemów w nawiązywaniu znajomości...** ▷



„Ja muszę coś nieustannie konstruować.  
U mnie nic nie może być constans.  
Mam w sobie tak wielką potrzebę  
zmiany, że chociaż miałyby się to  
ograniczyć tylko do przestawiania mebli,  
to będę to robić”, mówi wielka aktorka  
w głębokiej i mądrej rozmowie

Kiedyś przeczytałam,  
że „wielcy się nie spieszą”.  
I to mnie uderzyło, bo ja  
wiecznie uczestniczyłam  
w jakiejś gonitwie i przez to  
byłam zbyt powierzchowna.  
I myślę, że jeśli mi się  
zdarzyło coś głębokiego,  
to przez przypadek



## Bywam nieszczęśliwa przez jakiś czas, ale potem spoglądam na swoje życie z lotu ptaka i myślę: „Właściwie to moje życie jest fantastyczne!”

Nie. Odwiedziłam na wakacjach przyjaciółkę, która mieszkała na polu namiotowym. Okazało się, że w drodze z przyczepy kempingowej do łazienki – kiedy szłam w piżamie i ze szczoteczką do zębów – rozdałam masę autografów. To mnie do tego stopnia poruszyło, że następnego dnia zaprzyjaźniłam się z całym polem namiotowym. Pojechałam w nocy po wódkę, rozpałałam ognisko, śpiewałam piosenki, piekłam kiełbaski...

**– Czyli jest Pani takim bratem-lata...**

Tak, ale dziwnym. Bo już następnego dnia po tym, jak się z wszystkimi braćmi, mogę się obudzić w innym nastroju, czytać tylko wiersze Poświatowskiej i myśleć o śmierci. I nic na to nie poradzę.

**– Czy na polu namiotowym też tak było?**

Tak. Następnego dnia po tym ognisku wyjechałam. Już nie mogłam. Już miałam dosyć. Znowu stałam się osobą niedostępną i tajemniczą... (śmiech). Niepokój...

**– Dlaczego?**

Nie potrafię tego zanalizować.

**– Wróćmy do początku naszej rozmowy. Bo nie odpowiedziała Pani do końca, co tak zafrapowało Panią w postaciach starzejących się kobiet.**

Przemijanie to moja obsesja. Na dodatek odnoszę wrażenie, że dożyliśmy czasów, w których nikt nie zauważa, że w starości jest wartość. Że jest wartość w wiedzy, w doświadczeniu. Więc staram się o tym przypominać. I nawet kiedy piszę felietony, pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to opisać jakąś niezwykłą aktorkę, którą znałam, którą podpatrywałam, z którą godzinami siedziałam w garderobie. Zeby nikt o niej nie zapomniał.

**– Czemu Pani tak na tym zależy?**

Bo boję się, że za chwilę zapomnę o mnie. Ze wszystkie moje fascynacje i miłości też staną się przeszłością. Co więcej – że nikt ich nie zrozumie.

**– A może robi to Pani też na przekór światu, w którym obowiązuje teraz apodyktyczny dyktat młodości?**

Zawsze wszystko robiłam po swojemu.

**– Nie czuje Pani tego dyktatu?**

Czuje. Zresztą, jak całe moje pokolenie. A myślę, że nawet i nieco młodszy ode mnie. Ta wielka zmiana polityczna, jaka miała miejsce dziesięć lat temu, przeorała także sposób myślenia Polaków. Ludzie młodzi – w moim mniemaniu – mają teraz inne cele, wartości, inne nawet normy moralne. Wraz ze zmianą systemu świat się całkowicie zmienił.

**– Na gorsze? Czy to znaczy, że tamten świat był lepszy?**

Nie chcę tego wartościować. Chcę tylko powiedzieć, że tamtego świata nie ma. Dzisiejsza Polska generalnie mi się podoba, umiem się w niej znaleźć. Ale chwilami odnoszę wrażenie, że to już nie mój system wartości, nie moje tempo, nie mój gust ani poczucie stylistyki.

**– Kasandryczna wizja...**

Nieco. Co gorsza, takie widzenie rzeczywistości zdarzyło mi się – nad czym ubolewam – dużo za wcześnie. Najczęściej lęk przed „nierozpoznanym i trudnym do zaakceptowania nowym” przydarza się koło sześćdziesiątki. Mnie to dopadło zaraz po czterdziestce. W momencie pełnej formy zawodowej. Kiedy mam jeszcze dużo siły.

**– Ale czy Pani jako dwudziestoparolatka nie brała udziału w spisku młodych przeciw starszym? Przecież wy też wyperallście poprzednie pokolenie.**

Pewnie tak było, ale nie mieliśmy tej świadomości. Zresztą dziś młodzi ludzie też jej nie mają. To my jesteśmy świadomi. To my czujemy ich oddech na plecach i śmiejemy się nie w tych momentach co oni.

**– Kiedy pierwszy raz pomyślała Pani: młodość przemineła?**

To było bardzo wcześnie...

**– Tylko niech mi Pani nie mówi, że miała Pani 13 lat...**

(Śmiech). Trochę więcej. 23 lata.

**– Jakie to były okoliczności, co Pani wówczas czuła?**

To było tuż po urodzeniu Marysi. Leżałam w nocy w szpitalu i pomyślałam: skończyło się. Dotarło do mnie, że jestem dorosłym człowiekiem. Że młodość – czyli pewna nieodpowiedzialność, dezynwolturna, szaleństwo, brak proporcji – skończyła się bezpowrotnie.

**– Czy żałowała Pani tej utraconej młodości?**

Nie, zupełnie nie. Od tego momentu podzieliłam sobie świat: z jednej strony pieluszki, przedszkole, cała rodzina na Boże Narodzenie, pierożki na obiad, a z drugiej – nieokielznane ekscesy w sztuce.

Nie żałowałam też młodości, bo mi nieco ciążyła. Ja zawsze marzyłam, żeby się chcieli ze mną spotykać starzy, mądrzy ludzie. I żeby mnie traktowali jak partnera. Bo zawsze mi się wydawało, że oni mnie poważnie nie traktują. Żeby zaczęli, musiałam dojrzeć.

**– A z czego się brało takłe pragnienie? Z głodu autorytetów?**

Zawsze zachwycała mnie mądrość, rozsądek życiowy, celna myśl. A przede wszystkim umiejętność dojrzałego wyboru. Imponowali mi ludzie, którzy umieli zanalizować jakąś sytuację i dokonać wyboru.

**– Pani nie potrafi?**

Jestem za impulsywna. Kiedyś przeczytałam, że „wielcy się nie spieszą”.

I to mnie uderzyło, bo ja wiecznie uczestniczyłam w jakiejś gonitwie i przez to byłam zbyt powierzchowna. I myślę, że jeśli mi się zdarzyło coś głębokiego, to przez przypadek.

**– A czy odnajdywała Pani w sobie potrzebę weryfikowania autorytetów? Chęć podważania ich, by nieustannie sprawdzać, czy są prawdziwe?**

Nie miałam do tego zbyt wielu okazji. Na przykład moi rodzice nie byli dla mnie autorytetami. Owszem, szanowałam ich, ale to byli skromni, przeciętni ludzie. A mnie od początku ciągnęło do nieprzeciętności, do oryginalności na ostrzu noża, do wyrażania siebie i swoich tęsknot w skrajny sposób.

**– A w jaki sposób je Pani wyrażała?**

Pamiętam, że jako bardzo młoda aktorka miałam zagrać Dorianą Greya. I nie mogłam wyjść na scenę, zanim bardzo głośno nie puściłam w garderobie „Cry, baby, cry” Janis Joplin. Tak głośno, że aż ściany pękały. Wówczas się uspokajałam i już mogłam grać.

**– Jakie miejsce w Pani hierarchii wartości zajmuje sztuka?**

(Po długim milczeniu). To chyba najtrudniejsze pytanie, jakie usłyszałam w życiu...

**– Przepraszam... Nie miałem aż takich ambicji...**

Myślę, że moja odpowiedź będzie też dopełnieniem poprzednich, gdy pytał Pan o opozycję młodość–starość.

Dzisiaj już nie jestem zdolna krzyczeć... Kiedyś krzyczałam. Teraz nie jestem do tego zdolna. Owszem, nadal mogę zachwycić się czymś do bólu, natomiast nie potrafię już uruchomić w sobie tak czystych emocji jak dawniej.

**– A jak było dawniej?**

Kiedy usłyszałam pierwszy raz „Człowieka z La Manchy” w wykonaniu Breła, to myślałam, że zwariuję z zachwytu. Czułam, jakby się świat zawalił i na nowo zbudował. Nie wiem, czy kiedykolwiek później doznałam podobnego zachwytu z powodu dzieła artystycznego.

Zdarzyło mi się też potwornie płakać przez cały wieczór, że ktoś zepsuł sztukę. Wydawało mi się, że ja zrozumiałam, o co w niej powinno chodzić, a ktoś, kto ją robił, strasznie to zepsuł. I z tego powodu tak płakałam, że mały pogotowia do mnie nie wzywali. Płakałam nad straconą szansą.

Pamiętam też, że na żaden film nie zareagowałam tak żywo, jak na „Carmen” Carlosa Saura. Wyszłam z kina w Wiedniu, siadłam na chodniku i coś takiego mi się stało, że nie mogłam ani wstać, ani iść. I było mi wszystko jedno, czy mnie przejedzie samochód. Ja po prostu „zatrzymałam się w locie”. A potem widziałam przedstawienie, na podstawie którego Saura zrobił ten



Zdjęcia  
ROBERT WOLAŃSKI  
Stylizacja ALICJA KOWAŁSKA  
i MAREK ADAMSKI  
Fryzury ADAM SZARO  
Makijaż ANNA MECZYŃSKA  
Realizacja  
KATARZYNA KAZNOWSKA

**Gdybym żyła samotnie albo w otoczeniu innych kobiet, tobym się potwornie zdestabilizowała.**

**Tylko mężczyzna potrafi spojrzeć na pewne sprawy racjonalnie. Żadna kobieta nie ma takiego dystansu**

film, i darłam się w teatrze jak nigdy w życiu. Jak opętana. Do tego stopnia, że Marysia, która miała wtedy sześć lat, popłakała się ze wstydu, że matka się tak zachowuje.

A dziś już tego nie mam. Już nie mam takiej naiwności.

– Żal?

Bardzo. I to jest to, za czym tęsknię, do czego bym chciała wrócić. Już wiem, że nie umiem, ale marzy mi się, że to jeszcze jakimś cudem powróci. Taka naiwność. Co z tego, że wszyscy się ze mnie śmiali i mówili: „Janda to wariatka”...

– Ludzie często tak określają tych, którzy „mają emocje na wierzchu”. Dla własnego bezpieczeństwa. Bo czują się przez nich zagrożeni.

Ja zawsze kierowałam się emocjami. Kiedyś dowiedziałam się, że mam w przedstawieniu grać rolę, której nie chciałam. Chciałam grać inną. I to był dla mnie taki cios, że potwornie się popłakałam. I tak płacząc jechałam przez Warszawę, aż dotarłam pod dom Andrzeja Wajdy. Zaryczana weszłam do niego, a on krzyknął: „Jezus Maria, co się stało? Miałaś wypadek? Mąż ci umarł?”, a ja wtedy: „Nie chcę grać tej, chcę grać tamtą”.

– To było Jego przedstawienie?

Nie, skąd.

– Musiał być zdziwiony.

Kompletnie osłupiał, a potem dostał ataku śmiechu. I powiedział: „To im powiedz, że nie chcesz grać”. Wróciłam do domu. A Wajda, który mnie zna, przyjechał wieczorem do mnie, siadł na kanapie i powiedział: „Jeśli chcesz naprawdę odmówić, to sformułuj argumenty, zapisz je na kartce, naucz się na pamięć, zamów się u dyrektora teatru i mu to spokojnie, rzeczowo i godnie zreferuj. Inaczej nikt cię nie weźmie poważnie”.

Więc wymyśliłam argumenty i następnego dnia siadłam w poczekalni. Kiedy dyrektor przechodził, spojrzał na mnie i powiedział: „A co się stało?” A ja mówię: „Bo ja mam u pana zamówioną wizytę”. „Ale czemu siedzisz tu?”, zaniepokoił się. „Przecież zawsze wchodzisz tylnymi drzwiami”. Powiedziałam, że chcę oficjalnie. Weszłam do gabinetu, powtarzając

sobie, że zrobię, jak mi Andrzej ka-  
zał. Ale kiedy już miałam powie-  
dzieć pierwsze nauczone zdanie,  
nagle krzyknęłam: „Gówno! Nie  
będę tego grała!” A wtedy dyrek-  
tor odetchnął: „No, nareszcie, a już  
myślałam, że się coś stało!”

– I co?

Nie zagrałam w ogóle w tym  
przedstawieniu. Natomiast innym  
razem ja, która nigdy nie odwoła-  
łam przedstawienia – nawet gdy  
miałam 40 stopni gorączki – nie  
mogłam grać przez tydzień, bo mi  
zdechł ukochany pies... (śmiej).  
I dyrektor, który się na to zgodził,  
błagał tylko, żebym nikomu nie  
zdradziła prawdziwego powodu  
mojej absencji.

– Wydaje mi się, że nic się nie zmie-  
niło. Nadal sprawia Pani wrażenie  
osoby utkanej z samych emocji...

Może... Ale zdarza mi się już, że  
kiedy ktoś przybiega i krzyczy:  
„Kryśka, a może byśmy zrobili  
to i to!”, wtedy ja na to: „Eee...”  
(śmiej). Chyba się zmieniam...

– Czy był taki moment w życiu, któ-  
ry był dla Pani optymalny i chciała-  
by Pani, żeby się zatrzymał?

Często miewałam takie stany,  
kiedy mówiłam sobie: „Boże, teraz  
to jest ten najważniejszy moment,  
już nigdy nie będzie lepiej”. Ale ni-  
gdy nie trwało to zbyt długo. Bo  
mam ciągle jakieś wątpliwości. Le-  
dwo się czymś zachwyce, a już spa-  
dam na dno rozpacz...

– Pani na dnie rozpacz?

No, może nieco przesadziłam.  
Tak naprawdę nigdy mi się w życiu  
nie zdarzyło nic tragicznego. Tak  
naprawdę los mnie nigdy nie do-  
tknął. Jestem dzieckiem szczęścia.

– To czemu Pani mówi – sam sły-  
szałam – że od dziesięciu lat jest  
Pani w depresji?

Wszyscy mówią, że są w depre-  
sji, to ja też... Już wspominałam  
o moich 11-letnich cyklach. I tak  
jak pierwsze jedenaście lat składa-  
ło się z zachwytu i nadziei, że stane  
się coś niezwykłego, tak teraz  
nastąpił okres niepewności, czy  
w ogóle się coś stanie.

– Ale przecież to nie jest Pani Indy-  
widualna przypadłość. Wszyscy tak  
mają. To naturalna kolej rzeczy...

Wiem. Wątpliwości dopadają każ-  
dego, kto żyje świadomie.

– A co Panią leczy z tej depresji...

Publiczność. Nieustannie prze-  
konuje mnie, że warto.

– Czy potrafiłaby Pani wyczołgać się  
z życia zawodowego?

Myślę, że tak. Tylko musiałabym  
sobie znaleźć jakąś inną emocję...

– Dom?

Może... Tylko że zajmowanie się  
domem nie jest twórcze. A ja muszę  
coś nieustannie konstruować. U  
mnie nic nie może być constans.



– Trudno się z Panią żyje? „Oj, potwornie”.  
– Jest pani choleryczką? „Straszna...”

Mam w sobie tak wielką potrzebę  
zmiany, że choćby miało się to ogra-  
niczać tylko do przestawienia mebli,  
będę to robić. I dlatego nie życzyła-  
bym swoim bliskim mojego okresu  
aktywności jedynie domowej...

– Czy jest Pani szczęśliwa?

Myślę, że tak... Ale dlatego, że  
umiem ocenić wszystko we właści-  
wych proporcjach... Bywam nies-  
zczęśliwa przez jakiś czas, ale po-  
tem spoglądam na swoje życie  
z lotu ptaka i myślę: „Właściwie to  
moje życie jest fantastyczne!”

– Trudno się z Panią żyje?

Oj, potwornie.

– Jest pani choleryczką?

Straszna...

– Czyli co? Wbija Pani kogoś w zle-  
mię w trzydzieści sekund, a po  
chwili, kiedy emocje opadną, żalu-  
je już Pani tego?

Tak, zdarza się, że kogoś potrafię  
urazić, ale potem przepraszam bar-  
dzo. Ja nie potrafię być z kimś po-  
kłóconą. Jeśli do tego dochodzi,  
wychodzę ze skóry, żeby się z tym  
kimś przeprosić...

– Dlaczego?

Bo rozumiem upokorzenie. Wie  
pan, ja jestem taką osobą, która  
trzy dni potrafi się martwić, że się  
nie zaśmiała z czyjegoś dowcipu.  
Zwłaszcza że widzę, że ten ktoś za-  
uważył mój brak reakcji. Potem  
mnie to gryzie.

– Z czego to wynika? Chciałaby Pa-  
ni, żeby wszystkim było dobrze?

Nie... (Po zastanowieniu). Tak...  
Chciałabym, żeby w świecie, w któ-  
rym się obracam, nie zdarzały się  
przykre rzeczy...

– ???

Wiem, wiem... Też uważam, że to  
infantylna choroba, ale jaka piękna.  
– A jak się jeszcze objawia...

Zdarza się, że nagle wpadam do  
pokoju, gdzie siedzi mój mąż,  
i krzyczę: „Czy wiesz, że w tym  
momencie umarło na świecie tyle  
i tyle dzieci z głodu?” Robię tak, bo  
usłyszałam o tym przed chwilą  
w radiu i coś mnie tak strasznie ści-  
snęło. A wtedy Edward, którego  
uwielbiam, bo ma świetne poczucie  
humoru na mój temat, mówi  
spokojnie: „Czy ty wiesz, że jesteś  
kobotynką?” I wtedy się uspokajam...  
Jego „zimne oko” przywraca  
mnie do równowagi.

– Mąż działa na Panią normalizu-  
jąco?

Zdecydowanie. Gdybym żyła –  
jak wiele moich koleżanek – samot-  
nie albo w otoczeniu innych kobiet,  
tobym się potwornie zdestabilizo-  
wała. Bo, moim zdaniem, tylko  
mężczyzna potrafi spojrzeć na pew-  
ne sprawy racjonalnie. Żadna ko-  
bieta nie ma takiego dystansu.

– A czy miewa Pani takie tęsknoty,  
żeby się jeszcze raz szaleńczo za-  
kochać?

Boże, jaki koszmar... (śmiej).  
To byłoby straszne...

– Czemu?

Dlatego, że strasznie dużo osób  
na mnie liczy. To by bardzo  
unieszczęśliwiło moje dzieci, mę-  
ża, matkę, przyjaciół. Mój dom jest  
domem, w którym znajdują przy-  
tulenie osoby samotne. Między in-  
nymi dlatego, że u mnie w domu  
można uwierzyć, że uczucia się nie  
zmieniają. Transformują się, ale  
nie zmieniają. Naprawdę mało jest  
takich miejsc. Więc nawet gdybym  
się zakochała, to bym tę miłość  
w sobie zabiła.

– Przejaw nadmiernej świadomości?

Może gdybym miała 20 lat, to  
bym uważała, że miłości nie wolno  
zabić. Ale mam – jak już mówiłam  
– lat 47. W tym wieku można, a na-  
wet powinno się mieć już nadmier-  
ną świadomość.

– A czy zdumiewa Panią, że jest Pa-  
ni babcią? Czy staje Pani przed lu-  
strem, myśląc: nie, to niemożliwe?

Ale skąd. Kiedy zostałam babcią,  
wszystkie gazety do mnie zadzwoni-  
ły, co ja na to. Zdenerwowało  
mnie, że spodziewają się, że będę  
zdenerwowana, zawstydzona, Bóg  
wie, co jeszcze. Więc mówiłam:  
„Cieszę się, tym bardziej, że sama  
znów jestem w ciąży”. Nie byłam,  
ale w tej odruchowej odpowiedzi  
jest wszystko, co ja na ten temat  
myślę. Cieszę się, ale przecież to  
mnie w żaden sposób nie zmienia.

Kiedy Marysia rodziła Lenę,  
miałam zdjęcia do jakiegoś Balza-  
ka. I byłam ubrana w suknię z epo-  
ki. Dowiedziałam się, że zaczął się  
poród, wsiadłam w samochód i po-  
jechałam do szpitala. Była pier-  
wsza w nocy. Ubawiło mnie, że por-  
tier, który mnie wpuszczał, uznał  
za zupełnie normalne, że jestem  
tak ubrana. Weszłam na salę poro-  
dową, a lekarze też przyjęli za nor-  
malne, że Janda paraduje po nocy  
w rozłożystej sukni.

Zobaczyłam, że jest wszystko  
w porządku i pojechałam na plan,  
spodziewając się, że poród potrwa  
długo. Bo ja Marysię rodziłam dwa-  
dzieścia godzin i był to największy  
ból w moim życiu. Więc kiedy za  
dwie godziny Marysia zadzwoniła  
i powiedziała: „Mamo, już”, to  
krzyknęłam: „Nie wygłupiaj się,  
tak ci łatwo poszło!”, a potem do-  
dałam: „Jak ja ci zazdroścę, też  
bym chciała znów być w ciąży”.  
Rozumie pan, od początku miałam  
na to zupełnie niebabcię spojrze-  
nie. A potem już tylko czekałam,  
żeby mała zaczęła się z nami kon-  
taktować. Bo wielce mnie interesu-  
je jako nowy życiowy partner. A po-  
nieważ jest Skorpionem, to sądzę,  
że przeżyjemy razem wiele intere-  
sujących momentów.

Rozmawiał

ANDRZEJ SARAMONOWICZ